

Układy na niebie i ziemi

„Układ splątany. Kopernik i inni” Macieja Wojtyszki w reż. autora w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu. Pisze Piotr Hildt, członek Komisji Artystycznej 30. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej.

Jest rok 1523. Maciej Wojtyszko zabiera nas w podróż do Fromborka, w której podzieli się z nami pokorą wobec świata.

Układ splątany utrzymany jest w ciekawej, nieczęstej konwencji: choć można określić go spektaklem historycznym lub kostiumowym, nie jest inscenizacją starego dramatu, a współczesnej sztuki Macieja Wojtyszki. Poprzednie spektakle reżysera wedle własnych tekstów dowodzą jego ciągłego zainteresowania sztukami o ważnych postaciach historycznych. Ostatnim czasem Wojtyszko znalazł ostoję do pracy w Teatrze im. Słowackiego. Wystarczy spojrzeć na krakowskie spektakle, takie jak Narodziny Fryderyka Demuth czy O dwóch doktorach i jednej pacjentce, by dostrzec podobieństwa z jego nową toruńską sztuką.

Tekst ma specyficzną konstrukcję. Narracja zasadza się na fabule głównej oraz komentarzach pobocznych. Struktura fabuły jest osadzona na siedmiu wątkach relacyjnych: Kopernika z Reichem, Giesem, Anną Schilling i Dantyszkiem oraz Reicha z Giesem i Schilling. Dodatkowo mamy wątek obyczajowo-mieszczański wokół postaci Ciechocińskiego i Wojtka.

Mniej więcej raz w każdej scenie aktorzy kierują bezpośrednio do widza dopowiedzenia na temat powiązań akcji sztuki z realiami historycznymi, o których widz niewiele wie albo nie ma pojęcia. Dowiemy się choćby, jakim językiem posługiwał się Kopernik, czy był księdzem, albo do którego wieku służbę karano biciem. Poznamy też kulisy wydania De revolutionibus i tego, kto w tym „procederze” dopomógł. Podrzucone na boku ciekawostki stanowią frapujący zabieg artystyczny. Akcja zostaje na moment wstrzymana, ale nie na zasadzie stopklatki, bowiem aktorzy odsuwając się od swoich ról nie wychodzą z nich całkowicie. Co więcej, będąc nadal na granicy postaci, wypowiadają autokomentarze do własnych ról i komentują między sobą relacje wpisane w akcję.

Sztuka jest też mieszaniną wydarzeń fikcyjnych i płaszczyzny dokumentalnej – w akcji rozpisanej przez Wojtyszkę występują postaci z realiów historycznych. Pojawiają się także sceny w konwencji teatru jarmarcznego, co stanowi podwójny zabieg teatru w teatrze. Występy kuglarzy wplecione są w akcję (ogląda je Kopernik). Od strony dramaturgicznej atrakcyjnie równoważą elementy konstrukcji całego przedstawienia. Ponadto wyróżnia się znacząco ostatnia scena, już po zamknięciu głównej fabuły. Aktorzy, jeszcze przez chwilę jako renesansowe postaci, ostentacyjnie zwrócą się do publiczności z refleksjami na temat rzeczywistości kosmosu. Otwarte pytania podniecająco pozostaną bez odpowiedzi. Jako przesłanie.

Fabularność sztuki jest linearna i uporządkowana. Nie ogranicza się w stu procentach do jednej historii napisanej klasycznie scena po scenie, ale wybrane przez autora wątki zazębiają się w przejrzysty sposób. Rytm jest prawidłowy, a czas trwania (ponad dwie godziny) poprawnie dopasowany.

Obraz sceniczny – sam w sobie dosyć surowy – przenosi nas do szesnastowiecznej katedry. Wkomponowany jest w przestrzeń dużej sceny teatru: elementy scenografii nachodzą się ze stylowym sklepieniem sceny i lożami, a złote wykończenia widowni elegancko łączą się z brązem drewna dominującym w scenografii. Tę budują proste geometryczne konstrukcje, które przypominają kształt fromborskiej świątyni. Oddając renesansowy styl kojarzą się jednocześnie ze światem Kopernika nasiąkniętym matematyką. Minimalizm scenografii pozwala skupić się na postaciach. Dodajmy, że autorem koncepcji jest Wojciech Stefaniak, z którym Wojtyszko chętnie współpracuje od lat.

Osobnym dziełem są w przedstawieniu stroje zaprojektowane przez znaną polsko-francuską kostiumografkę Dorothée Roqueplo. Wiernie ukazują modę epoki, a gra światłem uwydatnia ich barwy pięknie wkomponowane w minimalistyczną scenografią katedry. Postaci zgrabnie poruszają się w tej przestrzeni, nie mając nadto wielu rekwizytów. Zewnątrz wizerunek samego Kopernika odbiega od popularnego obrazu. Naukowiec nie ma tu powłóczystej togi ani gęstych loków, scenograf zrezygnował też z nieodłącznych u astronoma symboli globusa i cyrkla.

Spektakl jest dość nierówny aktorsko, ale zacznijmy od pozytywów. Świetnie zbudowana jest postać Jana Dantyszka – znanego poety, biskupa, dyplomaty, pierwszego polskiego ambasadora i sekretarza Zygmunta Starego. Łukasz Ignasiński oddaje cały koloryt tej historycznej postaci, strojnisią niepozobawionego dużej inteligencji, głodnego przygód podróżnika, stałego bywalca królewskich bali, ulubieńca Bony Sforzy. Równie udaną kreacją jest grany przez Pawła Tchórzelskiego Feliks Reich – kanonik (w ówczesnym systemie najniższy rangą duchowny, bez święceń kapłańskich) w randze sekretarza biskupa, niesympatyczny pijaczyna łasy na pieniądze i zaszczytne funkcje. Jarosław Felczykowski bardzo dobrze gra poczciwego pana Ciechocińskiego. Zubożały kowal uciekł przed wojną z Mazowsza na Warmię, by znaleźć schronienie w dobrach kapituły zarządzanej przez Kopernika i zostać tu stolarzem. Przy okazji sztuka zwraca uwagę na interesujące wątki regionalne ówczesnych ziem polskich.

Przedstawienie próbuje odpowiedzieć na szeroki pejzaż pytań związanych z życiem Kopernika. Wspomniane już wplecione komentarze, wyłączające z głównej akcji i odnoszące się z dzisiejszej perspektywy do rzeczywistości historycznej, dowodzą o sile elementów dokumentalnych dramatu Wojtyszki, który objawia też nienachalne walory dydaktyczne. Obserwując nieostre granice między prywatnym i publicznym życiem Kopernika (rolą pełnioną przez niego w środowisku kościelnym i pracą badawczą) można nie dowierzać, jak wiele funkcji sprawował. Wszystko to przeplata się z życiem intymnym – oddzielnym wątkiem sztuki jest romans z Anną Schilling.

Można odnieść wrażenie, jakby scenariusz był efektem śledztwa. Nie wiem, jak wyglądał proces pracy. Czy Wojtyszko dopisywał kolejne elementy do sztuki – czy odwrotnie – na gotowej już kanwie wydarzeń i pytań napisał tekst. W każdym razie osiągnął udany efekt.

Pracy Wojtyszki nie brakuje jednak uchybień. Zaczynając od aktorstwa, niedosyt pozostawia główna rola. Kopernik w wykonaniu Przemysława Chojęty na szczęście nie siedzi na pomniku i nie dzierży atrybutów wielkiego naukowca. Jest pokornym badaczem, urzędnikiem o ludzkiej twarzy, sympatycznym kolegą dzielącym się swoimi przemyśleniami. Wreszcie to kanonik z sercowymi słabościami. Chojęta gra go dobrze, z lekkością, ale trudno przeoczyć, że sposób mówienia aktora jest niestety niechlujny. Wymieńmy na końcu odtwórców ról Tiedemana Giese i Schillingowej, którzy wypadają blado. Mam wrażenie, że Paweł Kowalski nie czuje się dobrze w kostiumowej sztuce, zaś patos, z którym Julia Sobiesiak-Borucka gra konkubinę Kopernika, jest dotkliwy dla ucha. Pozostając przy ocenie aktorów, momentami można było niedosłyszeć słów w piosenkach śpiewanych przez błaznów.

Małe niedopatrzenie jest w scenografii. Jej ważnym elementem jest przyrząd naukowy, który ma służyć do pomiarów odległości planet. Choć Kopernik wyraźnie zleca Ciechocińskiemu zbudowanie „pavimentum”, to jednak w spektaklu używane jest „triquetrum”.

Widać, że dość poplątane życie miał Kopernik. Ale cała ta podróż do szesnastowiecznego Fromborka jest w pewnym sensie tylko pozorem i pretekstem. W Układzie splątany idzie o dwoistość znaczeniową. Z jednej strony o układy na ziemi i życiowe konstelacje Kopernika – sprzężenia między życiem prywatnym a publicznym, gry o władzę itd. Z drugiej o układy w niebie. Układ splątany jest w nauce „rodzajem skorelowanego stanu kwantowego dwóch lub więcej układów kwantowych”. Ciekawe, że sztuka znajduje naukowe odniesienia między astronomią a fizyką. Przecież Kopernik kojarzy nam się raczej z pojęciem Układu Słonecznego.

Na pozór nieskomplikowana narracja spektaklu ma w sobie wiele odcieni. Wojtyszko wycisnął tu wszystko, co składa się na esencję życia. Wszelkie możliwe układy – także te w najbardziej potocznym i banalnym znaczeniu – rezonują na bardzo współczesną opowieść, jak chcą tego twórcy. Nie brakuje także odniesień duchowych, w jednej ze scen błazen przebrany za mnicha melorecytuje fragment Księgi Koheleta: „Przemija pokolenie, rodzi się pokolenie, a ziemia trwa pod słońcem. Nie nasyci się oko patrzeniem, nie nasyci się ucho słuchaniem. Tego, co jest krzywe, nie wyprostujesz, a tego, czego nie ma, nikt nie policzy. I poznałem, że to wszystko jest utrapieniem ducha. Albowiem, gdzie dużo mądrości, tam wiele zgryzoty, a komu przybywa, wiedzy przybywa cierpienia”.

Patrząc na Układ splątany z lotu ptaka, Wojtyszko obiera ścieżkę wręcz renesansową – i to bynajmniej nie tylko w obrębie tej sztuki, ale jako twórca. Wychodząc od całego świata fabularno-historycznego (nazwijmy go humanistycznym), zwraca się ku nauce – a precyzyjniej mówiąc –

nauce ścisłej. Owo zainteresowanie odbieram jako ciekawy eksperyment artystyczny, jakiś wyraz pokory. Reżyserzy niezmiernie rzadką wychodzą poza świat sztuk teatralnych i meandry scenicznych historii doprawione poszukiwaniem artystycznego samouwielbienia. Któż z nich powie dziś, aby „nie starać się eksponować siebie” (to już Axer).

Wojtyszko jako przedstawiciel warszawskiej szkoły teatralnej – nie tylko jako konkretnej instytucji, lecz pewnej szkoły reżyserii – jest zakorzeniony w tradycyjnym teatrze, po trosze jako jego konserwator, gdzieś jako jego piewca. Jest wiernym szkole Hübnera, dobrym rzemieślnikiem, specjalistą od teatru opowiadanych historii. Jednocześnie jego Układ splątany nie jest muzealny. Spektakl rządzi się czytelną spójnością, jest atrakcyjny zarówno jako sztuka w warstwie fabularnej i językowej, jak również jako estetyczne widowisko. Mamy okazję obcować z tradycyjną konwencją, która emanuje przyjemnością udanej wizyty w teatrze.

Układ splątany jest wpisany w szerszy kontekst kulturowy, ponieważ ubiegły rok był w województwie kujawsko-pomorskim jubileuszowy z perspektywy postaci Kopernika. Władze samorządowe wydatnie wsparły pięćset pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin. Cóż dziwnego – które inne miasto kojarzy się dziś z wielkim astronomem bardziej niż Toruń.